„Głos Narodu“ ilustrowany.

Kwiatki hakatyzmu pocztowego Prusaków.

Ze stosu dokumentów hakatyzmu pocztowego, nagromadzonych w naszej Redakcyi, wybraliśmy do reprodukcyi kilka pierwszych lepszych z brzegu kopert i opaskę gazety, aby czytelnikom pokazać naocznie, co wyprawiają hakatystyczne poczty poznańskie.

Każdy list, każda opaska, na których widnieje bodaj jedno słowo polskie w adresie, wędruje do »Übersetzungsstelle für die Oberpostdirection in Posen«.

Tam tłómacz przemazuje każde słowo polskie czerwonym atramentem, przekreśla końcówki (zamiast Redakcya »Dziennika Poznańskiego«: »*Redaction des Dziennik(a) Poznański(ego)*«, tłómaczy wszystko na niemieckie (zamiast Wni Państwo: — »Herrschaft etc.) — zaopatruje wreszcie każdy list i każdą opaskę w czerwoną stampilię szanownej »Übersetzungstelle«, poczem przesyłka iść może w świat — z opóźnieniem 2—4 dni! Nawet gdy obok adresu polskiego podany jest adres niemiecki, listy wędrują mimo to do tłómacza.

Poczty pruskie mają snać dużo czasu!

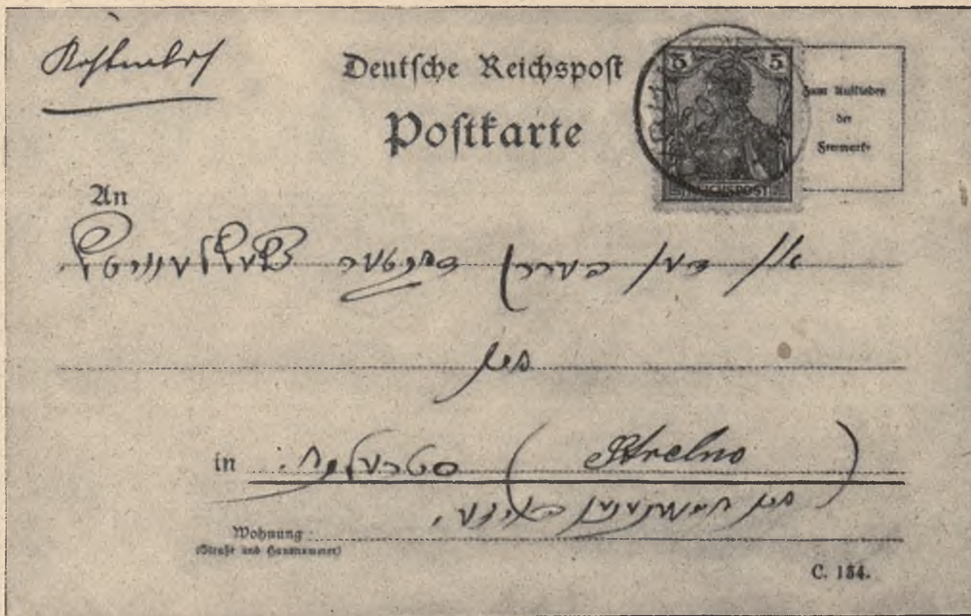
Ale ta poczta ośmiela się nawet nie przyjmować pewnych listów.



Poczty pruskie mają snać dużo czasu!

Kilka kopert listowych i opaska gazeciarska, które przeszły przez osławioną *Übersetzungsstelle* w Poznaniu.

Dodatek bezpłatny do „Głosu Narodu“ z dnia 14 grudnia 1901 roku.



Polskich adresów hakatystyczna poczta pruska nie rozumie: natomiast **żydowskie** adresy są dla hakaty wybornie zrozumiałe! Dowód z reprodukowanej wiernie karty korespondencyjnej, która została adresatowi doręczona, nie przeszedłszy przez bióro tłómaczeń w Poznaniu!

I tak list nasz zaadresowany

Wielebny Ksiądz Laskowski
Września
W. Ks. Poznańskie

zwrócono nam z dopiskiem: »zurück, Post wo?«

Wnosimy naturalnie zażalenie do c. k. Dyrekcyi Poczty w Krakowie i do Centralnej Dyrekcyi w Wiedniu.

Natomiast poczty pruskie rozumieją wybornie — **po hebrajsku**! Świadczy o tem reprodukowana karta korespondencyjna z adresem hebrajskim, która została adresatowi wręczona nie przeszedłszy przez biuro tłómaczeń! Kartę tę oglądać można w naszej redakcyi, a będzie ona wraz z innymi kwiatuszkami hakatyzmu przedłożona przez Koło Polskie w Berlinie parlamentowi rzeszy niemieckiej.

Wytrwamy!

Zło tryumfuje i pławi się w orgiach zbrodni i mętów. Tryumfuje w pysze i bucie bezgranicznej i zdaje się cały świat wyzywać i wszystko, co ludzkie i święte, policzkować i bestyalnem swojem kopytem co najpiękniejsze i najszlachetniejsze deptać. I nie widać napozór granicy jego potęgi, kresu jego siły. Wszystko w Europie w proch przed niem pada — a ono stąpa po karkach.

Nas tylko na drodze swej spotyka, nas jednych, co mu opór stawiają. Gdy nawet spodlona Francya nosząca już obrożę moskiewską, wyciąga głowę pod jarzmo pruskie — Polacy jedni nie korzą się, nie uginają, w oczy patrzą wrogowi, jak psu wściekłemu, jak zwierzowi pustyni, którego siłą magnetyczną wzroku można nieraz uśmierzyć.

Nie uśmierzymy go — ale czy przez to ulegniemy jego przemocy, padniemy w okropnej tej, nierównej walce?

Nietylko wezbrane uczucie, nietylko pewność wewnętrzna duszy polskiej, nietylko wiara nasza niedopuszczająca absolutnie wątpliwości, w dogmat narodowy, lecz także głos rozumu, głos doświadczeń z przeszłości, głos dziejów mówi: nie i po tysiąc razy nie!

Historya uczy nas niezbicie, co poprostu a z siłą wypowiedział wielki Staszyc: że upaść może i naród wielki, zginąć — tylko nikczemny...

Historya powszechna — to jeden nieskończony kalejdoskop walki brutalnych większości z słabemi mniejszościami. A w walce tej ci tylko giną, którzy poginęli już wprzódy duchem, którzy poddali się, dobrowolnie przyjęli jarzmo, rozpłynęli się w morzu większości. Mniejszość, byle zwarta, byle strzegąca swej odrębności, byle silna duchem, ostaje się w walce losów, niepokonanego zwycięża wroga.

Jak olbrzymią była potęga państw dawnych, jak okropnymi środki, którymi gnębili wrogie sobie lub podbite ludy? Wobec nich — hydra pruska jest tylko złośliwem a marnem robactwem.

A jednak!

A jednak Grecya stawiła opór świat zaćmiewającym milionom Xerxesów, wyszła z żelaznych objęć Rzymu, mimo upadków ducha przetrwała dzikie rządy tureckie — i żyje. A jednak lud żydowski z ziemi egipskiej i niewoli babilońskiej i z pod katuszy rzymskich wyszedł — i trwa... A jednak z pośród ludów słowiańskich te tylko zginęły, które dobrowolnie przyjęły na kark obrożę kultury obcej. Przetrwali słowianie południowi niewolę turecką, Rosya przeżyła dzicz tatarską, Litwa — wyszła cało z pod stopy krzyżackiej, Czesi — z pod swoich prześladowców... Wszędzie — wszędzie zjawisko to samo! Ulegają zanglizowaniu koloniści wszech ludów, przyjmujący w Stanach Zjednoczonych prędko język, oby-

czaje, cywilizacyę Anglii — ostała się wobec tej największej potęgi czasów nowożytnych Irlandya, wyszła cało z piekieł najstraszniejszych udręczeń — żyje...

W życiu narodów, na wielkiej arenie dziejów, inne obowiązują prawa, niż w świecie zoologicznym. Nie ten zwycięża, co ma najsprężystsze muszkuły i kły najostrzejsze, lecz kto umie żyć duchem — swoim duchem...

I to sobie dzisiaj śmiało powiedzmy i nad tem rozmyślajmy i przy tej zasadzie stójmy:

»Upaść może także naród wielki, zginąć — tylko nikczemny«.

Ostatni oficerowie polscy z r. 1831.

Jeden z łaskawych poznańskich abonentów pisze nam:

I u nas w Ks. mamy jeszcze dwóch walecznych weteranów z walki o niepodległość, mianowicie: pana Leopolda Paliszewskiego, mieszkającego dotąd w dobrach syna Władysława Paliszewskiego w Gębicach pod Czarnkowem. Szanowny weteran stosunkowo bardzo jeszcze silny przy 90-ciu latach, bierze czynny udział w życiu narodowem i bardzo się wszystkiem interesuje, co sprawy naszej dotyczy. Pan Leopold Paliszewski był od pierwszej chwili powstania nadzwyczaj czynnym, najpierw w gwardyi akademickiej, następnie powołany na podporucznika do pułku liniowego odbył całą litewską kompanią pod generałem Dembińskim, jako porucznik ranny został pod Miszkuciami dnia 10. lipca. Odtąd w powozie jenerała Dembińskiego włóczył się za armią, być ujść niewoli moskiewskiej. Rana pomimo tego goiła się dość szybko, gdyż mógł na czele kampanii wziąść udział w tryumfalnym marszu przy wejściu do Warszawy. Następnie odkomenderowany do Modlina, do ostatniej chwili powstania był w mundurze, dopóki go nie odstawiono do pruskiej granicy.

Żałuję bardzo, że nie mogę szan. Redakcyi przesłać fotografii czcigodnego weterana, gdyż nigdy fotografować się nie chciał. Życzliwi sąsiedzi tak jak corocznie, i w tym roku uczcili starca w dniu 29. listopada, i wszyscy się zjechali do Gębic, by w gronie rodziny i życzliwych spędzić ten wieczór w towarzystwie kochanego weterana.

Drugim żyjącym jeszcze oficerem z 31-go roku jest p. Porzeski z Jabłkowa, podobno także jeszcze czerstwy na swój wiek. Bliższe szczegóły o szanownym weteranie nie są mi znane. Miło by nam wszystkim było, gdyby szan. Redakcya zechciała światu przypomnieć, że żyją jeszcze ci dwaj oficerowie z walki o niepodległość.

Do ostatnich czwartaków walecznego pułku, co sławił się wzięciem Warszawy i Ostrołęką, należy także dzisiaj żyjący w Drohowyżu Feliks Migisa Stankiewicz, urodzony na Litwie, dziś staruszek 91-letni, który jednak zachował pamięć i zapał dla świętej sprawy naszej i wielką miłość dla ojczyzny, którą przelewał w dzieci i wnuki. Tak on, jak i ojciec jego poświęcił majątek sprawie narodowej, a po upadku powstania przenieśli się do Galicyi — opuszczając Litwę na zawsze.

Twórcy „Chorału“.

(Ilustracya pomnika w numerze poprzednim).

Jeremiemu krew wrząca skoczyła do skroni
I mniemał, że miecz dzierży w archanielskiej dłoni
I okiem iskier pełnem spojrzał po narodzie
I mniemał, że w nim duszę odbije, jak w wodzie.
A przy drogach, jak stare, pochylone słupy,
Sterczeli ludzie. Spojrzał im w twarz — żywe trupy!
I widząc to, Jeremi spłonął strasznym gniewem
I ze snu chciał ich zbudzić, brzękiem, słowem, śpiewem,
Więc na górę z rumowisk podniósł się po zgliszczach,
I mieczem bijąc w lutnię ćwiczoną na mistrzach,
Łunami obleczony i dymem obwiany,
Uderzył w hymn jak jego serce potargany.

I takim pozostał już na zawsze w wyobraźni narodu ten dwudziestoletni młodzieniec, którego wielki ból milionów wzniósł na najwyższe szczyty natchnienia. Z lutni jego w ciągu pół wieku wydobywały się potem dźwięki, nie mające nic wspólnego z tym surowym, proroczym, przepojonym burzą i piorunami nastrojem. Kiedy uleciały ostatnie dymy ze zgliszcz roku 1846, niejednokrotnie twórca »Chorału« dał poznać się, jako wykwintny liryk, z którego strun płynęły nadziemsko delikatne, pajęcze, melodyjne tony, dosięgające swojego zenitu w cudnych tłómaczeniach Szopena. Lecz to, co było najbardziej charakterystyczne dla jego twórczości, tkwiło w spiżowych, męskich i proroczych akordach »Skarg«. Kiedy »z pochodnią wstępował do grobów«, aby przed oczyma współczesnych postawić »dawnych olbrzymów« i narodowi swojemu rzucić w twarz pełen miłości i bolu krzyk: »jesteście karły«, kiedy targał jego trzewiami, kiedy w modlitwie do Boga wyrażał wiarę »że nas zapalił, jak pochodnię nocną, by całą ludzkość prowadzić ku sobie«, kiedy w grzmiącym »Marszu polskim« wołał: »my na tarczach cię wzniesiem, krzycząc światu: to ona! to zwiastunka miłości, gwiazda szczęścia dla ludów«, kiedy »żyjącym dla Ojczyzny« ofiarowywał to, co w poezyach jego było z bolu i z »wiary polskiej«, to stawał przed obliczem swojego narodu, jako nauczyciel, wódz i wieszcz, przekonany całą potęgą duszy o swojem nadziemskiem posłannictwie. Na wstępie swojego zawodu poetyckiego przyjmował nawet »drogę cierniową« w wędrówce do wymarzonego celu i godził się na wieniec męczeński »byle narodu zostać ulubieńcem«. Marzenie to zostało spełnione.

Postać Ujejskiego nie należy tylko do literatury. Jest to jedna z tych typowych postaci Parnasu polskiego, dla których ramki literackie są zbyt ciasne, ażeby pomieścić w sobie jej potężną indywidualność, rozlewającą się wielkiemi strugami i wnikającą w krew i miazgę narodu. Na skłonie swojego życia, jako starzec siedmdziesięcioletni, przyjmując hołdy z rąk rodaków, powiedział, że poezya nie była dla niego ukochaną sztuką, ale »jednem z narzędzi«, któremi posługiwał się w działaniu dla przyświecającej mu idei. Z tego stanowiska należy Ujejski do świetnej grupy porozbiorowych wieszczów polskich, którą zamyka jednym z najpotężniejszych akordów, jakie wydała poezya nasza. Więc chociaż w spadku literackim zostawił po sobie najcudniejsze perły artyzmu, chociaż kunszt pięknego słowa doprowadził w wielu utworach do ostatnich granic, jakie osiągnęła poe-

zya polska dziewiętnastego wieku, jednak naród, wznosząc mu pomnik, instynktownie odczuwał, że wznosi go nie artyście, nie mistrzowi formy, nie żonglerowi efektów, ale ostatniemu ze swoich wieszczów i proroków, wcielającemu w żywe słowo ból, pragnienie i nadzieje wszystkich pokoleń polskich.

* * *

Przed pięćdziesięciu laty pisał Ujejski:

Dla tego co żył w ciszy, nie trzeba pomnika,
Czas go kruszy i ręka ciekawa, lub dzika;
Już tych, co tu zostaną, nie o wiele proszę:
Z świeżo ściętych gałęzi niech uplotą nosze,
I gdy niebo wieczorną oświeci się zorzą,
Niech zwiędłego na liście zielone położą,
I niech mnie niosą w pole stroskani wieśniacy,
Jak swego towarzysza, co omdlał przy pracy.

Tak się też stało. Ale naród zapragnął uwieńczyć pamięć twórcy »Chorału« dotykalnym objawem swego uwielbienia. Dnia 8 grudnia b. r., na jednym z najpiękniejszych skwerów we Lwowie, stanął pomnik Kornela Ujejskiego ze składek publicznych. Długie życie poety spłotło się ze Lwowem tak, że chociaż należy do całego narodu, to kult jego w szczególniejszy sposób kwitnie w stolicy kraju. Tu występował niejednokrotnie, jako obywatel, jako polityk, jako mowca, tu wręczono mu przed ośmiu laty laury jubileuszowe. To też Lwów w pierwszym rzędzie był powołaay do złożenia mu hołdu. Skromny biust brązowy, dłuta artysty rzeźbiarza, Antoniego Popiela, stanął wśród plantacyi ulicy akademickiej. Przy udziale paru tysięcy osób odbyło się jego odsłonięcie, po wygłoszeniu przemówień prezydenta miasta, przedstawiciela świata literackiego, przedstawiciela młodzieży i syna poety, p. Romana Ujejskiego. Po oficyalnej kantacie, odśpiewanej przez połączone chóry towarzystw lwowskich »Lutni« i »Echa«, zabrzmiał z tysięcy piersi »Chorał«, którym zamknęła się wzniosła i pamiętna uroczystość.

a. c.

Młodzież i książka.

Książka doszła w naszych czasach do znaczenia, jakiego nigdy nie miała. Książka staje się coraz bardziej wychowawczynią, nauczycielką, mistrzynią, źródłem rozkoszy, cierpień, zepsucia, wzniosłości — rzeźbiarką, wykuwającą niejednokrotnie życie całe.

Od pierwszej młodości bierze ona człowieka w posiadanie. Pokój dziecięcy dziś zmienia swą fizyognomię. Dawne czynniki kształcące znikają coraz bardziej — książka tryumfuje coraz wyłączniej. Znikają przedewszystkiem owe postacie same jakby z bajek, które żywiły umysł dziecięcy bajką. Życie rozrywa węzły dawnej rodziny. Matki coraz mniej spędzają czasu ze swoim pieszczoszkiem, niestety coraz rzadsze są domy, w których matka schyla się nad dziecięciem, by szarą godzinką szeptać mu do ucha owe baśni i opowieści, które zaludniały fantazyę i ściskały serce radością i bolem, by śpiewać z nim pieśni, które potem grałyby mu w duszy przez całe życie... Jedne są porwane wichrem zabaw i newrozy, inne — schylone pod jarzmem pracy zawodowej poza domem. Szkoła, naprzód freblowska, potem ludowa pochłania dziecko w wczesnym wieku, książka prędko staje się pierwszą, główną, nieodstępną towarzyszką i przyjaciółką...

A z nią — jak z każdą przyjaciółką... baczność!

Zakrada się ona w łaski wesołym śmiechem, kokieteryjną szatą, pieszczotliwym, łechcącym szczebiotem, często obca, zawłoka niemiecka, pełna obcego ducha, nieraz trucizny... Inna znowu zjawia się swojska, kwiat z naszych niw, pełna najlepszych chęci, ale z uśmiechem zawsze poważnym, w todze zawsze i na koturnach, mrożąca wrychle serce, odpychająca z czasem umysł...

Jakież książki dopuścić do pokoju dziecięcego — jakież dać do rąk młodzieży dorastającej?

Rousseau swojemu Emilowi daje przedewszystkiem nieśmiertelnego »Robinsona Kruzoe«, pełen uwielbienia dla owego dzieła, które jak mało które — więzi fantazyę małego czytelnika, uczy go hartu charakteru, samodzielności umysłu, pracy i energii niezłomnej. I dzisiaj każdy wychowawca stoi na tem stanowisku Rousseau'a — tembardziej polski, stojący wobec tej największej naszej wady narodowej, jaką jest słabość charakteru. Pogląd ten powszechnie się też już przyjął, a świadczą o tem liczne próby u n a r o d o w i e n i a Robinsona. Mamy więc »Polskiego Robinsona«, »Robinsona w Ojcowie« itp. próby, które w ręku dorastających dzieci bezwarunkowo znajdować się powinny.

Względy utylitarne, które za tem przemawiają, nie są jednak jedynym naszym probierzem. Względy utylitarne odgrywają w ogóle w kwestyi wychowania rolę obusieczną. Bezwzględnie hołdowało im pokolenie poprzednie, okres »pozytywistyczny«. Starało się wszczepiać w młodzież jaknajwięcej cnót »mieszczańskich«. Dobrze jeszcze, gdy popularyzowano Smilesa, gdy wpajano potrzebę pracy — oszczędności — praktyczności... Ale ta praca zabijała często pierwiastki idealne, ale ta oszczędność prowadziła często do sknerstwa, ale ta praktyczność prowadziła niejednokrotnie do zwyczajnego filisterstwa! Typowym przykładem podobnego ideału »pozytywistyczno-mieszczańskiego« jest słynna »Księżniczka« Zofii Urbanowskiej. Książka nagrodzona na konkursie przez istotne powagi, daje wzór, ideał »młodego człowieka« i »młodej panny«, książka najuczciwsza w pomyśle, o tendencyi prawdziwie patryotycznej — ale jakie bije od niej zimno, jak mrozi ona serce, jak tłumi fantazyę! Wątpić należy, czy bohaterzy tej powieści konkursowej przemówią istotnie do jakiejś duszy młodocianej, czy stawianie nam maszyn idealnych za wzór — leży w charakterze naszym i w interesie naszej przyszłości.

Natomiast z uznaniem podnieść należy inny rodzaj pism dla młodzieży, rozpowszechniony przez epokę poprzednią, życiorysy ludzi wiedzy, »Męczenników myśli« — jak brzmi jeden z tytułów odnośnych wydawnictw. Podobne życiorysy, byle nie żywcem tłumaczone z języków obcych, byle z miłością i pietyzmem uwzględniły pracowników swojskich, byle szły w parze z kultem istotnych herosów narodowych — są lekturą wysoce pożądaną: budzą wysokie aspiracye duchowe, równocześnie dając obfitą karm wyobraźni.

Wyobraźnia! i oto jesteśmy przy kamieniu obrazy, przy punkcie najgorętszych sporów, przy



Marcin Biedermann,
dzielny wydawca »Pracy«, skazany przez hakatystyczny sąd poznański na 6 tygodni więzienia.



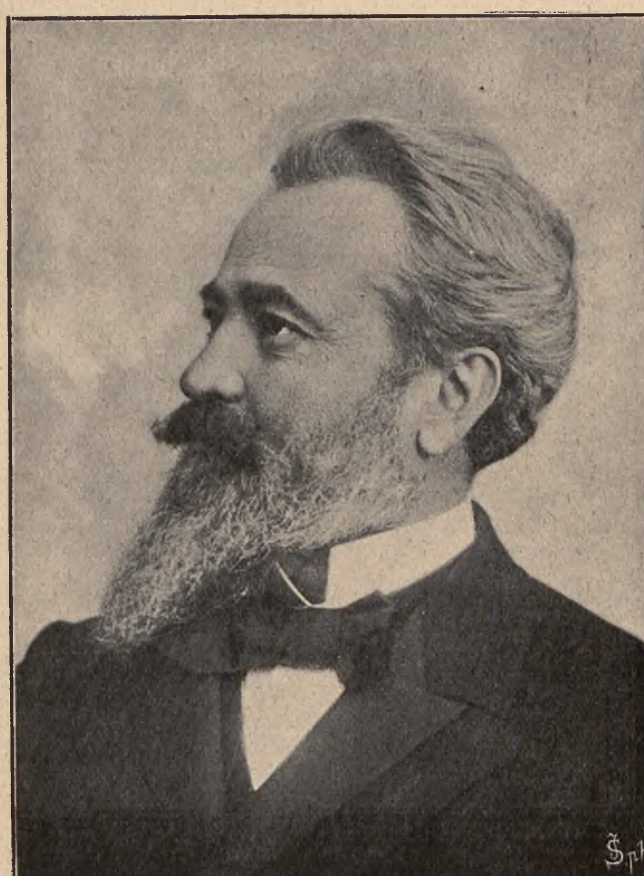
Mecenas Dr Celichowski,
obrońca Dra Rakowskiego i Biedermanna w ostatnim hakatystycznym procesie.

słupie granicznym między dwoma poglądami... Pokolenie poprzednie odnosiło się do wytworów czystej fantazyi bardzo niechętnie. Hasłem było: trzeźwość — prawda — racyonalizm. Wyrywano tedy z korzeniem najpiękniejsze drzewa, kwitnące w zaczarowanym ogrodzie baśni, deptano cudne jego kwiaty — by siać w to miejsce użyteczne rośliny pastewne. Nie, po sto razy nie: na podobną operacyę organizmu naszego duchowego nigdy się nie zgodzimy. Nie samym tylko chlebem żyje człowiek, nie sama rzeczywistość, niesłusznie identyfikowana z prawdą, jest źródłem i podstawą bytu. »Nieprawdziwe« wytwory fantazyi ludzkiej mają w sobie nieraz tyle piękna, tyle czaru, tyle podniosłości, że są niewyczerpanem źródłem dla uczuć naszych, tych niezbędnych skrzydeł duszy ludzkiej. Pielęgnujmy fantazyę — jej wyczerpanie grozi gruntowi naszemu oschłością i jałowością zastraszającą. Niech dzieci przebywają w krainie baśni, dziwotworów i czarów, niech młodzież wojuje ze smokami, podróżuje po krainach nieistniejących, żyje i współczuje z Indyanami. Historyk wzrusza ramionami nad podaniem o Wilhelmie Tellu, nad mytem o Czechu, Lechu i Rusie, o Krakusie i Wandzie — dla nas zostaną oni wcieleniem pragnień i marzeń, ich postacie legendarne długo będą przyświecać młodzieży jako symbole i idee żywota. Trzeba tylko ten świat fantazyi, w który wprowadzamy młodzież, spolszczyć. Trzeba jej też obok bohaterów mitycznych — przedstawiać swoich i to nie z dawnych czasów, lecz także z ostatniego stulecia naszych dziejów, trzeba nareszcie poza walkami na czarnym kontynencie i prócz amerykańskich Bawolich rogów i Żelaznych Serc — ukazać nasz czarny od bólu kontynent, naszą walkę z żelaznemi sercami najeźdźców... A na tym punkcie literatura nasza dla młodzieży posiada jeszcze niestety dużo luk; przeważna część wydawnictw przechodzi bowiem przez kleszcze cenzury moskiewskiej...

O Morskie Oko.

Dokończenie.

A co się mówi o Kole, toż samo odnosi się do polskich członków Izby panów. Należą tam p. t. pp. hr. St. Tarnowski, hr. K. Lanckoroński, dwóch hr. Badenich, prof. Zoll, Dr L. Biliński,



Józef Kościelski,
członek pruskiej Izby Panów,
przewodniczący komitetu, zarządzającego składkami na ofiary wrzesińskie.

Dr St. Madeyski i jeszcze kilku wybitnych mężów. Zapytujemy dlaczego ci panowie dotąd sprawy w Izbie panów nie poruszyli? Zapytujemy czy sądzą, że nie potrzeba i nie warto? A jeżeli tak sądzą, na czem ten swój opierają? I zapytujemy, czy nie uważają za potrzebne wyjaśnić społeczeństwu swojego milczenia i swojej inercyi?

Czy Koło polskie i członkowie polscy Izby panów zdają sobie sprawę z tej demoralizacyi i z tego wzburzenia, w które przebieg sporu o Morskie Oko społeczeństwo wprawia? Czy godzi się lekceważyć tę demoralizacyę i to wzburzenie wywołane brakiem obrony, niewiadomością, czy w ogóle ktoś myśli o obronie, obawą o utratę cudownego kawała polskiej ziemi? Czy godzi się narażać kraj i społeczeństwo na skutki wzrastającego wzburzenia? *Caveant consules!* Nie znajdujemy się w końcu XVIII wieku! Świadomość społeczeństwa jest dzisiaj żywą, sumienia są czujne, drażliwość napięta, a cierpliwość, nawet polska, ciężka, fatalistyczna cierpliwość wyczerpuje się. I nie na społeczeństwo spadnie wina, jeżeli cały przebieg sprawy o Morskie Oko wywoła następstwa, zarówno nieprzewidziane, jak nieuniknione. My nie grozimy, ale ponownie ostrzegamy, przestrzegamy i rząd i Koło polskie i polskich członków Izby panów. Tym ostatnim pozwalamy sobie zakomunikować zapytanie, które cały kraj, wszystkie ziemie polskie stawiają: od czegóż tam Panowie jesteście w pobliżu tronu?!

Gdy się te nasze smutne uwagi drukują, rozchodzą się wieści wiarogodne, że Koło ladadzień wniesie obszerną interpelacyę. Treść interpelacyi dojdzie zapewne czytelników równocześnie, a może nawet przed naszemi uwagami. Otóż interpelacyę tak bardzo spóźnioną — przyjmujemy z góry za fakt — i nie mamy nic do zmienienia w naszych uwagach. Interpelacya, taka spóźniona to nie wystarcza, to szablon i pusty strzał, to nie jest akcya obronna godna narodu boleśnie dotkniętego, godna wielkiego państwa; interpelacya i nic więcej, to jest już dzisiaj wobec znanego stanu rzeczy tylko pozór, tylko blichtr obrony i niemoc. W zakresie parlamentarnych środków tylko bezustanne wnioski naglące mogą być obroną. Żadnym odpowiedziom społeczeństwo nie uwierzy. Potrzeba czynów, potrzeba widzieć *restitutio in integrum.*

III.

Wyłożyliśmy dotąd, czego sprawa, i czego kraj od swoich zastępców się domaga i domagać się ma prawo. Ci zaś zastępcy potrzebują oparcia i poparcia, potrzebują podniety, zachęty, boć i oni są tylko ludźmi. Im dzielniejszy jest rumak, tem lepiej musi być podkuty; wobec wrogów i trudności potrzeba, żeby nasi zastępcy mieli stalowe podkowy, a w rękach maczugi. Takie znaczenie ma czynne poparcie ze strony kraju. Więc społeczeństwo, jeżeli mimo wzburzenia, w którem się znajduje, nie chce ładować samo na siebie winy zaniedbania, nieporadności i lenistwa: musi bezustannie podkowy i maczugi swoim zastępcom dostarczać. Wzywał już wiec w Zakopanem, wezwała »Ilustracya Polska«, żeby się cały kraj ruszył — legalnie, w porządku, ale potężnie, całą ławą. Wzywamy ponownie, każde miasto, każdą Radę powiatową, każdą redakcyę dzienników, każde stowarzyszenie, żeby zwoływano wiece, żeby podpisywano petycye do Cesarza, żeby podpisywano akcesa do petycyi i wezwania do Koła polskiego i do polskich członków Izby panów. Wzywamy, żeby Miasta i Rady powiatowe zebrały zbiorową deputacyę, jak najliczniejszą, taką jaka w r. 1860 jeździła do Wiednia, a przodowali jej wtedy Smolka, Sapieha, Pawlikowski; wzywamy miasta Kraków i Lwów, żeby wzięły inicyatywę. Ze względu zaś, że bardzo wielu obywateli i obywatelek nie mają zwykle sposobności do brania udziału w wiecach i podpisywania akcesów, wzywamy wszystkich świadomych i żywych, mężczyzn i kobiety do uczestnictwa w ten sposób:

1. Wyłożyć w każdym domu arkusz z nagłówkiem: »Brońcie »Morskiego Oka«, mówcie co czynicie, mówcie co my czynić mamy«. Na arkusz ten zbierać podpisy wszystkich najomych.

2. Rozdzielać karty korespondencyjne zaopatrzone w ten sam nagłówek i kłaść na nich liczne podpisy.

3. Prosimy przesełać do nas te arkusze i te karty — a my każdą paczkę będziemy regestrować i ciągle, bezustannie Kołu polskiemu doręczać.

4. Jeżeli kto wie, zna, obmyśli inne jeszcze, może lepsze środki obrony, prosimy niechaj je nam udzieli dla użycia ich.

5. Upraszamy wszystkie dzienniki, żeby przecież znalazły czas i miejsce dla tej prawdziwie świętej sprawy, żeby poparły nasze usiłowania, żeby wezwały od siebie społeczeństwo do własnej obrony.

Nie wątpimy, że nawoływania nasze odniosą pożądany skutek.

Z naszego albumu.

Z SONETÓW.

Gdy wieniec jasnych kwiatów kładziesz na swo czoło,
Wpleć weń zawsze jeden kwiat posępny i ciemny...
Kwiat szczęścia wita tylko myśl szczęścia wesołą,
Jasnym myślom da tylko całunek tajemny...

A może pod twą skronią zbłąkana z daleka
Myśl ciemna w łzach napróżno pocałunku czeka?
Wpleć w wieniec twego czoła i jeden kwiat ciemny —
W kielich słodkiego wina jednę łzę goryczy

Łzę ciemną zmięszaj — w szczęścia pieśń choć jedno łkanie...
Ten sam gościniec widzi uścisk tajemniczy
Dwu rąk, co się znalazły, i widzi rozstanie...

Może twa dusza, nucąc pieśń, brzmiącą weselnie,
Przechodzi pod oknami chorego śmiertelnie...
Wmięszaj w twą pieśń radosną jednę łzę goryczy...

Lwów *Leopold Staff.*

Z miasta.

Brylantową od śniegu i księżyca nocą
Wracam zwolna przez puste, uśpione ulice...
Śnieg wysrebrzył chodniki... białych lamp źrenice
Czystym, jasnym płomieniem wesoło migocą...
Czar szafiru i srebra padł na kamienice,
Snów przedziwnych je tuląc ciszą i niemocą
Brylantową od śniegu i księżyca nocą
Wracam zwolna przez puste uśpione ulice...
Świat, jak z bajki... nic nie drgnie w tej śnieżnej przestrzeni...
Linie śpiących kościołów rysują się lekko
Śnieżne jakby z błękitnych ulane płomieni...
Pod znużoną sen zcicha usiada powieką
I sezamy tajemnic otwiera mej duszy...
Tak mi smutno i ciężko, jak nigdy...
Śnieg pruszy...

Kraków. *Jan Pietrzycki.*



Plansza E. Liliena do „Miłości“ Jana Kasprowicza.

WŁADYSŁAW ST. REYMONT.

Z Pamiętnika panny Hali — jej „Pa“ i „Ma“

Ciąg dalszy.

Jechaliśmy, ale nie można było nic widzieć przez okno, bo deszcz padał, i mnie się spać chciało, i, „Pa“ klął, że mu się jeść chce, a i Stokrotki tak piszczały! Naturalnie, bo i one nie jadły śniadania!...

Ale tak pociąg leciał, że nigdzie nie można było wysiąść!...

Dopiero tutaj, na tej wstrętnej stacyi, miał się zatrzymać dłużej, a „Pa“ mówi; wysiądę, przetrącę co, i wam przyniosę.

I wysiadł — no i może po minucie pociąg rusza, a „Pa“ niema!..

Jezus, myślałam, że oszaleję!... „Ma“ zaczęła krzyczeć, żeby przystanęli!...

Ale gdzie tam, co zrobią te szwaby!... „Pa“ chciał jeszcze w biegu wsiąść — złapali go!...

A ten żyd powiada, żeby pociągnąć za rączkę u sufitu, to pociąg stanie — pociągnęłyśmy z „Ma“ aż się coś oberwało i pociąg strasznie zagwizdał, ale zaraz stanął...

Co to była za awantura... to coś okropnego!...

Zleciała się służba i pasażerowie i wszyscy!...

„Pa“ nie puścili do pociągu a i myśmy też wysiadły, a połowa rzeczy poszła prosto do Budapesztu!... No, rzeczy to pewnie nie zginą, ale moje czekoladki to napewno śledzia zjedzą, umyślnie mi je „Ma“ na drogę kupiła.

Sodoma i Gomora! Naprawdę, ale jużbym drugiej takiej chwili nie przeżyła...

A ten niegodziwy żyd śmiał się z nas, bo to on powiedział, że na tej stacyi pociąg zatrzymuje się na śniadanie!... „Pa“ aż go bić chciał i szkoda że pociąg ruszył, ale tak mu jeszcze z peronu nawymyślał, że to coś okropnego...

A ten podły wyglądał oknem i krzyczał:

— Wimiślaj pan sobie zdrów, ja po polsku nie rozumiem.

Okropni są ci żydzi, ja żebym była „Pa“, tobym tym wszystkim, którzy mieszkają u nas, zaraz podniosła komorne.

Ale „Pa“ tego nie zrobi, wiem, taki miękki...

Już ja panu Henrykowi nie pozwolę być safandułą...

No i musimy na tej stacyi czekać do południowego pociągu, i „Pa“ zapłacił karę za zatrzymanie.

Stokrotki widocznie się przestraszyły, bo tak się biedaki trzęsą, a może nawet są chore...

Sama „Ma“ poszła prosić naczelnika stacyi, żeby im co poradził, to ten gbur, szwab jakiś, powiedział że nie jest weterynarzem...

Chociaż u nas nie jest za granicą, ale naprawdę ludzie są grzeczniejsi!...

. . . .

Zjedliśmy porządne śniadanie, ale mamy jeszcze trzy godziny czekania... i z tego wszystkiego zupełnie mi się rozfryzowały włosy.

Jakiś śliczny huzar chodzi po peronie, pewnie węgier!

Zafryzuję sobie włosy i pójdę przejść się trochę po peronie.

. . . .

Budapeszt, 4 kwietnia.

Dopisek »*Pa*«. — Przespałem się, wypocząłem po tych strasznych przejściach i zaraz ruszamy dalej, a i kobiety ze Stokrotkami czują się niezgorzej.

Ten Peszt to Europa, psiakość nóżki baranie! a te Węgry to naród ho! ho!... Ogromnie tylko podobni do żydów! Wola boska, sam znam w Warszawie czystego jak złoto katolika, a taką jucha ma twarz, że na pierwszy rzut oka przysiągłbyś, że gudłaj!

Przeszedłem się trochę po mieście! Wspaniałe nadzwyczajne!

Elektryka, asfalty, drzewo, porządek pierwszej klasy!

Tylko wina węgierskiego nie mają! Wszedłem do Grand Café i zażądałem; podali mi jakąś lurę... a myślałem że się za te pieniądze uraczę, co się zowie... Ale za to gulasz — piekło, dziesięć większych pilznerów wypiłem i jeszcze mnie pali.

A kobiety! — smoki! Żebym tak nie był z gruntu moralnym człowiekiem i czującym obywatelem, i gdybym był sam! — No, nie ręczę...

Chodzą jak łanie, aż to do głowy uderza!...

A domy — pałace, prawdziwe pałace, jak pod sznur wyciągnięte i wszystkie w jednym stylu, w takim porządnym dochodowym stylu! To, to lubię, a nie te różne fidrygałki i wymysły głupie, które dużo kosztują, a ani grosza więcej nie przynoszą, jak te przechwalone domy Talowskiego w Krakowie.

A hotele jak kościoły! Winda wszędzie, elektryczność, woda, czystość, komfort, że człowiek i w domu nie mieszka porządniej! A pokojówki! no wprost damy! Nie śmiałem jej mówić o ciepłą wodę do ogolenia!

A przystojne!... pi, pi, pi!... te z Fantazyi, to nawet się nieumyły!...

Muszę ja tutaj kiedy sam przyjechać... bo Peszt wart jest porządnego obejrzenia... a z kobietami to człowiek jest przeważnie skrępowany.

. . . .

Ale zdzierusy niech ręka Boska broni, gorzej niż żydy!...

. . . .

5 kwietnia, już w drodze do Wenecyi.

Jedziemy już prosto do Włoch!

Mamy przejeżdżać przez morze, co?... Tak Tak się tem cieszę, bo żadna z moich koleżanek nie jechała morzem... mogą sobie zato jeździć przez Wisłę na Saską kępę — nie bronię.

Pesztu prawie nie widziałam, bo tak mnie bolała głowa!...

Ale zato na stacyi widziałam prawdziwego anglika, mówił wprawdzie po niemiecku, ale był taki w kratki, miał pled i Baedeckera w ręku, że to z pewnością anglik! O w Wenecyi, to „Pa“ musi kupić mi Baedeckera — przecież to wprost nie wypada jeździć bez niego.

Ale tutaj, chociaż tak blisko Włoch, wcale nie jest jeszcze ciepło.

Pola wszędzie jak u nas; jedziemy do jakichś gór, widać je z okna, jakby je kto farbką namalował takie niebieskie...

Ale jedziemy z ogromnym szykiem, bo jest i wagon restauracyjny!

Byliśmy już w nim na kawie! To takie dziwne!...

Tu się je — a tu się jedzie — a tak się wszystko chwieje jak pijane.

Mało takich zwyczajnych ludzi, sami prawie podróżni, to zaraz poznać...

A my też wyglądamy dystyngowanie, ale na anglików to nie jesteśmy podobni, szkoda...

Nierozumiem dla czego „Pa“ niechce robić znajomości w wagonie, przecież to mogą być jakie wysokie figury...

Muszę obserwować...

Te pola to widać już są i na całym świecie.

Przy drzwiach siedzi jakiś brunet bardzo szykowny.

Wsiadł w Peszcie, ale w takiem ogromnem palcie, jakby w niem mieszkał — nie mogłam wstrzymać się od śmiechu, a on jak siadał ukłonił się nam. Dobrze widać wychowany!

Wyszedł na korytarz palić papierosa...

Napewno Węgier... taki czarny... tylko nos ma nie wyraźny jakby...

Aha, rozmawia z „Pa“... ciekawam, muszę iść poprawić sobie włosy...

. . . .

Jedliśmy obiad przy jednym stole, rozmawialiśmy... a jaki miły!...

Stokrotki nie miały miejsca, to je trzymał na kolanach... tego toby nawet pan Henryk nie zrobił... a tak na mnie spogląda...

. . . .

Już dawno, dawno po południu a my wciąż jedziemy... „Pa“ drzemie.

Jedziemy przez straszne góry, no nigdy takich nie widziałam, a wysokie że to coś okropnego, aż się patrzeć boję.

On umie trochę po polsku!... zaczął z „Ma“ rozmawieć, tylko ma taki dziwny akcent... pewnie węgierski! Muszę być strasznie czerwona, bo tak się zawstydziłam... mówiłam przecież z „Ma“ o różnych rzeczach... a on mógł trochę rozumieć...

Chociaż, wolałabym Węgra, który nie rozumie po polsku, to byłoby szykowniej.

Bardzo dystyngowany człowiek... opowiada o swoich dobrach na Węgrzech, ma i domy w Peszcie!... Przedstawia się nam!...

. . . .

Nazywa się baron Pfalfy-Terek!

To wspaniale brzmi! prawda, przecież i arcyksiężna Stefania wyszła za Węgra!... teraz, to się temu nie dziwię! —

Ach, cudowna ta droga przez góry, ze dwie godziny stałam z nim w korytarzu i patrzyliśmy bo księżyc świeci... a tak mówi ogniście, takie ma usta... pocałował mnie w rękę... aż mi się strasznie zrobiło, ale się obraziłam, bo to nie wypada tak zaraz... Chociaż, podobno ci Węgrzy zawsze są tak gwałtowni...

Tak mnie przepraszał... powiedziałam, że później to mu może daruję... ale ja się nie gniewam, tylko tak wypadało...

. . . .

Słyszałam jak mu „Ma“ powiedziała, że jestem już narzeczona, ale narzeczeństwo to jeszcze nie ślub...

Poczciwa ta „Ma“, a jaka mądra!

. . . .

C. d. n.

Nakładem Redakcyi »Głosu Narodu«. W Drukarni »Czasu« w Krakowie.